



Opowieść o bezdomnych i chorych biedakach



JERZY AFANASJEW
Biblioteka Główna GUMed



Autor prowadzi bloga pod adresem afanasjew.pl.

Jestem z zawodu reżyserem filmowym. Opowiadaczem historii i obserwatorem ludzi. Ale reżyser to tylko jeden z wielu moich zawodów. Poświęciłem bowiem 4 lata życia, w czasie których 7 dni w tygodniu, 24 godziny na dobę, ratowałem i pomagałem trójmiejskim bezdomnym. Byłem współszefem projektu *Zupa na Monciaku* we Wspólnocie *Chleb Życia* s. Małgorzaty Chmielewskiej, mojej ówczesnej szefowej.

Przyznaję, że termin „osoba w kryzysie bezdomności” budzi moją niechęć. Kryzys ma to do siebie, że mija i kiedyś się kończy. Wyjście z bezdomności, podobnie jak z towarzyszących jej zwykle aktywnych stadiów choroby alkoholowej, nie udaje się prawie nikomu. Ta choroba, jeśli się jej nie zatrzyma, prowadzi do śmierci. Alkoholik więc nie ma „problemu alkoholowego”, a jest chorym z „zaburzeniami psychicznymi i zaburzeniami zachowania, spowodowanymi używaniem alkoholu” (ICD-F10). Podobne eufemizmy, moim zdaniem niepotrzebnie, promuje się w debatach w przestrzeni publicznej. Czy jeśli masz nowotwór złośliwy trzustki, to lekarz opowiada Ci wierszyk *Idzie rak, mały rak, jak uszczyplnie będzie znak*, czy raczej włącza syrenę na alarm? Jednak bezdomność nie jest chorobą w rozumieniu medycznym i ani formalnej nazwy, ani kodu nie posiada. Poznałem setki bezdomnych i ani jednego, który powiedziałby o sobie, że dotknął go „kryzys bezdomności”. Jeżeli razi kogoś, że mówię o swoich dawnych podopiecznych „biedacy”, to musicie wiedzieć, że robię to z największą miłością i czułością.

Neverending story

Kłopot z bezdomnymi jest stary jak świat: zakłócają swoją obecnością iluzję pięknego krajobrazu, w którym pragniemy żyć. Jeśli więc – a słyszałem to nie raz – jakiś prezydent miasta chwali się, że rozwiązał problem bezdomności i alkoholizmu i że tzw. „system” działa sprawnie, to dopowiem, że to nieprawda. System działa do bani, problemu bezdomności nie rozwiązano nigdzie, acz wielu próbowało. Ten stan się szybko nie zmieni. My, ludzie, którzy oczywiście wszystko „wiedzą

lepiej”, nie słuchamy instrukcji podanej nam 2000 lat temu na tacy. I setka Miejskich Ośrodków Pomocy Społecznej nie pomoże, jeśli jako społeczeństwo nie zmienimy nastawienia wobec tych, których skazujemy na ostracyzm. A skazujemy ich choćby dlatego, że nie mają pieniędzy i żebrzą, że piją, że są chorzy albo brudni i niedostosowani do naszego świata. Próbuję w bezdomnym widzieć brata i siostrę – poważnie – nawet jeśli jest złodziejem i pół życia spędził za kratami. Oduczyłem się na dobre sądzić, że jestem od nich „lepszy”.

Artur

Artura, mimo że był prawie tak stary jak my, traktowaliśmy jak chorego syna. Miał źle zrośniętą rękę i było to widać z daleka. Nikt nie skorygował mu tego złamania w szpitalu. Był więc kaleką. Urodził się w Brzeźnie. Z zaburzonej alkoholem rodziny szybko trafił do domu dziecka. Później do szkoły specjalnej. A później wprost na ulicę. Próbował pracować w piekarni. Pojawił się alkohol, szybkie pieniądze i poprawczak. Potem znów alkohol, konflikty z prawem i więzienie. I tak całe życie.

Nasz Artur był dobrym człowiekiem, który dopiero podczas terapii w ośrodku dla uzależnionych od alkoholu u zielonoświątkowców w Łękinie zaczął przerabiać swoje dzieciństwo, którego zabrakło. Gdy latem wieźliśmy go autem na terapię, zatrzymaliśmy samochód w lesie, aby się przejść. Artur biegał i przynosił nam zerwane kwiatki i małe grzybki. Dokładnie tak jak robią to małe dzieci. W Boże Narodzenie jeździliśmy do niego w odwiedzin. Innym razem harcerka z ZHR upiekła dla niego urodzinowy tort, który zawieźliśmy mu odświętnie ubrani. W ośrodku ustawiono wielki stół, ale nikt oprócz nas nie przyszedł na jego urodziny. To też był komunikat. Wysłaliśmy go raz do domu s. Chmielewskiej w Góry Świętokrzyskie. Jednak wiosną spotkał kolegę, postanowił z nim paść owce, coś zmajstrował, zgarnęła go policja i znów trafił do paki. Tyle razy go ratowaliśmy i tyle razy woziliśmy do szpitali i do ośrodków na terapię. Jeden raz się nie udało. Była pandemia i zima. Artur dostał zawału w śmietniku na Żabiance, gdzie nocował na mrozie. Karetka zawiozła go do szpitala. Nie zdążyli. Umarł samotnie. Nie mogliśmy się z nim pożegnać. Zdawało się, że traktował nas jak przybranych rodziców. Czy to nieprofesjonalne? Przez kilka tygodni nawet nie wiedzieliśmy, że umarł. Dowiedzieliśmy się o jego śmierci od innego bezdomnego, którego siostra pracowała w szpitalu jako sprzątaczką. Artur, dopóki nas nie spotkał, od nikogo nie dostał wskazówek, co jest w życiu dobre, a co złe.



Pisał do nas swoją krzywo pozrastaną ręką piękne, krótkie, dziecinne listy. Kaligrafował literki. Tylko tak umiał wyrazić swoją sympatię i wdzięczność. Nie wiem do dziś, czy i gdzie ma swój grób. W szpitalu na Zaspie nikt nie wpisał do akt, że jesteśmy „rodziną”. W zakładach karnych przed widzeniem też musieliśmy mówić „rodzina”. A skoro tak, to byliśmy rodziną.

„Traktuj bezdomnych tak, jak sam byś chciał zostać potraktowany, będąc na ich miejscu”

Źle pomyślany, czasem jakby na złość bezdomnym wymyślony system to jedno. Co innego pracownicy socjalni oraz wolontariusze, którzy wkładają w pracę sporo wysiłku i serca. Ograniczenia w ich możliwościach pomocowych nakłada system i zakazy. A także polityka kreowana w ratuszach miast. Pamiętam jakiś amerykański film, w którym bohater żartował z kogoś, że jest tak beznadziejny, że skończy jako pracownik socjalny. *A więc i w Ameryce są takie stereotypy?* – pomyślałem.

Wokół naszej inicjatywy udało się zbudować wielki krąg chętnych do pomocy przy kościele św. Jana w Gdańsku. Harcerzy z ZHR, Leśnej Szkołki, mormonów z Utah oraz starszych, często zamożnych gdańszczan, wpływowych dobrych ludzi, dzięki którym mogliśmy działać. Naszymi sojusznikami okazali się policjanci, lekarze, pielęgniarki i ratownicy z karettek pogotowia. Władze natomiast, zamiast okazać wdzięczność za inicjatywę obywatelską podjętą bez finansowego udziału samorządu, odkąd pamiętam były do nas wrogo nastawione. Nie mieli nad nami kontroli. Gotowaliśmy jak dla królów. Gdy „normalsi” próbowali naszych zup, pytali, gdzie w Sopocie mamy swoją elegancką restaurację. Stojąc w środku miasta i rozdając setkom bezdomnych najzdrowsze zupy gotowane według przepisów z całego świata, pachnące orientальnymi ziołami, robione ze świeżych warzyw z rynku i mięsa kupowanego o świcie w hurtowni dla restauratorów, obnażaliśmy obłudę władzy i jej fasadowość. Bo jak się chce, to można!

Pomaganie biedakom, ciężko chorym i bezdomnym nie daje się zliczyć w słupkach w Excelu. Moja dawna szefowa powiedziała mi na początku, że jeśli zabraknie mnie, to przyjdą na moje miejsce inni. I miała rację, jak we wszystkich innych sprawach. Po czterech latach z ubogimi i prawie dwa lata po odejściu z *Zupy na Monciaku* uważam, że moim najważniejszym dokonaniem był czas, który wraz z bezdomnymi spędziłem i im ofiarowałem. Nie liczba przejechanych kilometrów wypełnionych po sufit ciężarówkami z żywnością, odzieżą i artykułami pierwszej potrzeby. Ważne było też życie emocjonalne: „Wigilie w Wigilię”, podczas których, dokładnie

gdy zaświeciła pierwsza gwiazdka, przy naszym stole przykrytym białym obrusem, jak w domu, lecz na dworze pośrodku miasta, harcerki śpiewały kolędy. Wielkanoc, które zaczęliśmy nieodmiennie od puszczonego z głośników naszego wielkiego samochodu, zwanego Niebieską Strzałą, *Alleluja* z oratorium *Mesjasz* Georga Friedricha Händla. Zawalone niedziele i nieprzespane noce. Odwiedziny, asysta i opieka w szpitalach i ośrodkach terapeutycznych Pomorza. Bezdomni mieli do nas numer telefonu i zawsze mogli zadzwonić. Dzwonili. Ale zdarzało się też oczekiwanie w zadyńce w umówionym punkcie, do którego nie docierali, bo byli zbyt nietrzeźwi i mieli zaburzenia pamięci krótkotrwałej. Później jednak przypominali sobie, że na nich czekaliśmy i że mogli na nas liczyć. Nie zamykaliśmy biura w moim domu o piętnastej. Jaki jest stosunek władz do bezdomnych, można bardzo prosto sprawdzić. Wystarczy podróż do noclegowni na obrzeżach i do kilku schronisk obok. Gdy zobaczycie, w jak uwłaczających warunkach mieszkają i nocują bezdomni, żadne słowa nie będą już potrzebne. Poza tym, aby zamieszkać w schronisku, trzeba mieć skierowanie od urzędnika.

Na skraju życia i śmierci

Bezdomni zwykle są osobami jedną nogą w grobie. Często stoją już w nich po pas albo po pachy. Nie dostrzegają powagi swojej sytuacji. Ilość śmierci wokół mnie była początkowo trudna do uniesienia. Znałem tych ludzi z imienia i nazwiska. Na początku opowiadali zmyślane zazwyczaj historie. Później docierałem głębiej. Otwierali się. Ten, kto kłamie, i tak w końcu się pograża. Mam radar na kłamstwa, bo sam jestem trzeźwym alkoholikiem. Nie byliśmy łatwowierni. Jak to się mówi, „alkoholik alkoholika nie oszuka”. Uzależnienia prowadzą do najgenialniejszych oszustw, które nieodmiennie służą ochronie nałogu. Pewnie uczą tego na psychiatrii. Ja musiałem sam nauczyć się rozróżniać konfabulacje od faktów. Nauczyłem się ostrożnie oceniać motywy zachowań chorych. Z uwagi na ich labilność emocjonalną trudno do nich dotrzeć i ich zrozumieć. Powinni trafiać najpierw do szpitali, gdzie ich stan mógłby zostać ustabilizowany. Ale jak zawieźć do szpitala komunikacją miejską w środku lata 50-letniego bezdomnego na wózku z amputowaną jedną nogą i katastrofalnie gnijącą drugą?

– *Jeśli chce pan trafić do szpitala bez ubezpieczenia i zostać przyjętym, musi się pan mocno walnąć w łeb* – usłyszałem od pewnego bezdomnego. Zdębiałem. Taki „patent” na ratunek okazał się tragicznie prawdziwy. O co chodzi? O przepisy. Bezdomny zwykle nie ma ubezpieczenia zdrowotnego. Nie pójdzie do



Akcja Zupa na Monciaku

lekarza w przychodni po skierowanie, bo ten go nie przyjmie. Nie wypisze więc też recepty na lekarstwo. Teoretycznie może pójść za darmo do poradni uzależnień, gdzie lekarz psychiatra wystawi mu skierowanie na detoks i terapię w szpitalu psychiatrycznym, albo pojechać na terapię uzależnień dokądkolwiek zechce. Mamy w Polsce niezwykle ośrodki terapeutyczne. Nie potrzeba ubezpieczenia, wystarczy powiedzieć „tak”. Mało kto chce się leczyć, mało kto chce przestać pić. Aby zostać przyjętym na detoksykację w szpitalu, bezdomny nie może być pod wpływem alkoholu. A może mnie ktoś oszukiwał i wcale tak nie jest? Przepis może i słuszny w odniesieniu do „normalistów”, którzy delirium przeleżą w domowym łóżku. Bezdomni ani łóżka, ani domu, ani opieki bliskich nie posiadają. Ich zaniedbanie w trakcie ciągów alkoholowych uniemożliwia dowiezienie ich do szpitala własnym samochodem. Czasem udawało się taksówką. Transport w stanie zagrożenia życia. Jeśli przypadkiem chory dostanie napadu padaczki alkoholowej, jak pani Basia, po udzieleniu pierwszej pomocy można wezwać karetkę pogotowia. Ratownicy zabierają wtedy bezdomnego na SOR. Czasem wybawieniem bywa wcześniejsze trafienie za kratki.

Basia

Z Basią było trudno. Za którymś razem udało nam się namówić ją do zejścia na zero. Od wczesnego ranka siedziała na ławce nieopodal poradni uzależnień i trzeźwiała. Gdy przyszedłem, by ją tam zaprowadzić, nie mogła już iść, prawie ją niosłem. W poczekalni dostała ataku padaczki alkoholowej. Zacząłem ją ratować. Wymioty. Wezwaliśmy karetkę. Panie z obsługi w białych fartuchach były w panice. Proszę, aby otworzyły toaletę. A one, że to toaleta tylko dla personelu. Świat na niby. Jedynie ratownicy z karetki okazali się profesjonalistami. Szacunek. Nie zawieźli Basi do szpitala psychiatrycznego, gdyż wciąż była pod wpływem alkoholu. Zawieźli na SOR do szpitala na Zaspie.

Bezdomny w szpitalu

Umieszczanie bezdomnych na oddziale chorób wewnętrznych w normalnym szpitalu ma sens, gdyż zwykle są oni ciężko schorowani i poprzez SOR otwiera się możliwość pomocy. Odtrucie alkoholowe ma więc miejsce często na szpitalnych oddziałach ratunkowych i oddziałach chorób wewnętrznych zwykłych szpitali. Próbowałem namawiać lekarzy na transportowanie pacjentów po wytrzeźwieniu na detoksykację do szpitali psychiatrycznych. Udało się kilka razy.

Zwykle jednak było inaczej. Jechaliśmy naszym samochodem za karetką pogotowia z podopiecznym na SOR. Asystowaliśmy podczas wielogodzinnych badań. Kiedyś w nocy karetka przywiozła pana Marka. My za nim. Podeszła do mnie pielęgniarka z kubeczkim i kompletem rękawiczek, żebym pobrał od pacjenta mocz do analizy. Byłem zdziwiony, dlaczego ja, ale wykonałem zadanie. Mogłem się do czegoś przydać.

Pacjent nietrzeźwy, z psychozami, halucynacjami, labilny emocjonalnie często ucieka z „normalnych” szpitali. Rano pojechaliśmy

sprawdzić, czy pan Marek żyje. Już go nie było. O trzeciej w nocy poinformował pielęgniarkę, że idzie do kantoru wymieniać dolary. Szukaliśmy go potem miesiąc, może dwa. Z tego, co wiem, udało mu się przestać pić i pogodzić ze swoją Kochającą mamą. Gdzieś po roku przyjechał z nią, by nam podziękować. Światło odbite – przecież to oni byli bohaterami.

Z detoksykacji w szpitalach psychiatrycznych można wyjść jedynie za zgodą personelu. Stamtąd też próbują uciekać albo wnosić na teren szpitala alkohol. Prawdziwy „dom wariatów” – iść się leczyć z alkoholizmu z butelką gorzały. Personel szpitala psychiatrycznego stosuje odpowiednie procedury i narzędzia na wypadek takich sytuacji. Inaczej mają się sprawy w „normalnych” szpitalach, w których nie można pacjentowi zabronić wyjścia z budynku. Współpraca na linii trzech podmiotów: ratownictwa medycznego, szpitali psychiatrycznych oraz szpitali ogólnych w przypadku bezdomnych alkoholików szwankuje. Podejrzewam, że przyczyną są najwyraźniej sprzeczne lub niejasne przepisy, a nie ludzie. *Delirium tremens* jest stanem zagrożenia życia.

Izby przyjęć szpitali psychiatrycznych w Gdańsku i Starogardzie Gdańskim nie chcą przyjmować na odtrucie pacjentów pod wpływem alkoholu. Muszą oni o własnych siłach siedzieć przed szpitalem na ławce i trzeźwieć. A przyjęcia na oddział odbywają się zwykle tylko przed południem. Zimą wygląda to nieciekawie. W delirium występują problemy z temperaturą ciała. Chorzy z zatruciem alkoholowym mają kłopot z samodzielnym chodzeniem. Nie potrafią ustać bez pomocy. Zastanawialiście się, dlaczego oni tak często chodzą o kulach? Nie, nie są wiecznie połamani. Po prostu nie mogą ustać. Nogi nie działają. Jeden z moich podopiecznych o tym wiedział i dotarł do szpitala z parasolką, którą próbował się podpierać. Odkryłem ją w krzakach. Wraz z koleżanką z *Zupy na Monciaku* musieliśmy go prawie wnieść do izby przyjęć. Nikt z Izby Przyjęć w Szpitalu Psychiatrycznym na Srebrzysku nigdy nie pomógł nam wnieść chorego bezdomnego do środka. Nawet prośba o możliwość wjechania na teren szpitala samochodem bywała problemem.

Obserwowałem, jak lekarze traktują bezdomnych pacjentów na oddziałach chorób wewnętrznych w Szpitalu Wojewódzkim przy ul. Nowe Ogrody i obok – w Pomorskim Centrum Toksykologii, w Szpitalu św. Wojciecha na Zaspie i w Szpitalu Morskim w Gdyni. Oceniam tych lekarzy z wielkim respektem. Zaangażowanie młodych lekarek z Oddziału Chorób



Akcja Zupa na Monciaku

Wewnętrznych szpitala na Zaspie i ze Szpitala Psychiatrycznego na Srebrzysku było olbrzymie. Czy młodość ma tutaj znaczenie? Nie działał system i przepisy. Bezduszna rejonizacja. Jeśli bezdomny miał ostatni meldunek w Katowicach, za szpital powinna zapłacić opieka społeczna z Katowic. Do tego trzeba jednak współpracy ośrodków pomocy społecznej w różnych miastach. No i trzeba jeszcze takiej współpracy chcieć. Kto zapłaci za pobyt w szpitalu w Gdańsku bezdomnego z ostatnim meldunkiem w południowej Polsce? Przecież nie sam chory, który nie ogarnia swojej sytuacji, jest od lat bezrobotnym i ma tuzin komorników na karku. Artykuł 68 Konstytucji RP sobie, a życie sobie.

Radek

Po miesiącach perswazji udaje nam się przekonać jednego z bezdomnych alkoholików do leczenia. Jest od wielu miesięcy w ciągu. Trzeba być w pobliżu i wyczuć moment, kiedy wyciągnąć rękę z ofertą pomocy. Wreszcie zgadza się na leczenie. Śpi na ulicy. Pewnego razu widziałem go śpiącego na przystanku w kurtce, którą daliśmy mu chyba dwa miesiące wcześniej. Od tamtego czasu jej nie zdejmował. W mieście założyli na ławkach metalowe obręcze, aby przypadkiem bezdomny na nich nie zasnął. Takie szykany władz w białych rękawiczkach są powszechne. Jedziemy samochodem po skierowanie na leczenie do poradni uzależnień. Bezdomny musi mieć przy sobie dowód osobisty albo zaświadczenie o jego zagubieniu. Gubią dokumenty, pomagamy wyrobić nowe. Sprawdzam Radka regularnie alkomatem. W ciągu kilku tygodni miał 3, 4, parę razy 5 promili. Umawiamy się, że nie będzie do rana pić i przyjedzie do centrum handlowego na rogatkach miasta. Do szpitala na Srebrzysku go nie przyjmą, bo wciąż nie jest na zero. Jedziemy pociągiem do Szpitala Psychiatrycznego w Starogardzie Gdańskim. Dalej, autobusem miejskim do szpitala. W Starogardzie mijamy olbrzymią fabrykę wódki. Radek zaczyna mieć drgawki, silnie się poci, ma kłopoty z oddychaniem. Wiem, co się dzieje, przecież jestem trzeźwym alkoholikiem. Przychodzimy do izby przyjęć. Lekarz odmawia przyjęcia Radka do szpitala, mówi, że musi mieć miejsca dla pacjentów ze Starogardu i okolic. Jest niezadowolony z tego, że znajdujemy się w pomieszczeniu, w którym bada Radka. Nie patrzy ani na pacjenta, ani na nas. Wszystko, co mówi, wypowiada beznamiętnie, patrząc w komputer. Pytam w końcu: *Panie doktorze, dlaczego pan nie patrzy nam w oczy? Czy pan nie ma serca? Chce pan, żeby Radek umarł?*

Lekarz zamachał rękami i już się nie odezwał. Najwyraźniej skończył i badanie, i rozmowę z nami. Z ledwo żywym Radkiem wracamy PKS-em z przesiadką do Gdańska. Z autobusu wykonujemy rozpaczliwe telefony do znajomych lekarzy, błagamy o ratunek. Jest już wieczór. Radek się ślania, muszę mu pomóc się wysuszać. Na parkingu czekamy na telefon ze Srebrzyska, że go przyjmą. Przed dwudziestą dowozimy go do szpitala. Taksówką. Przyjmują Radka na odtrucie. Chyba nawet nie badają alkomatem. Gdybym miał znów ratować życie Radka, zrobiłbym to bez namysłu. Czy ta „ścieżka zdrowia” dla człowieka w stanie zagrożenia życia była potrzebna?



Stoisko z jedzeniem dla osób bezdomnych

Czy nikt nie widzi, że system jest bezduszny i stworzony jakby na złość pacjentom?

Przez cztery lata tylko dwa, trzy razy w szpitalach psychiatrycznych spotkałem się z niechęcią lekarzy wobec moich bezdomnych podopiecznych. Chodziło o odmowę przyjęcia na oddział pacjentów z delirium, gdy alkomat wskazywał, że chory był pod wpływem alkoholu. Dlatego jeździliśmy do szpitali z chorymi jako asysta. Zawsze we dwoje.

Marta

Ta to nam dała do wiwatu. Ciągłe kłamała. Z początku próbowała wkręcić nam, że jest w ciąży i badała, co my na to. A jednak uwielbiliśmy ją. Marta dziś, jeśli żyje, ma koło trzydziestki. Miała straszne dzieciństwo. Opowiedziała nam swoje życie, kiedy jechaliśmy samochodem do Warszawy. Miała pecha do facetów, którzy ją zostawiali. Parę lat temu postanowiła spać z jednym przy plaży w namiocie. Była zima. Skończyło się w szpitalu z zapaleniem płuc i ciężką niewydolnością nerek. Leżała tak ledwo żywa tygodniami, była skrajnie wychudzona, lekarze co rusz oczyszczali jej brzuch z jakichś zalegających płynów. Lekarki stawały na rękach, żeby ją doprowadzić do pionu. Potem, w same Walentynki, gdy już mieliśmy ją zawieźć do ośrodka na długą terapię, a szpital cisnął, aby ją wypisać, uciekła. Przy pustym łóżku został tylko walentynkowy balonik w kształcie serca. Wkrótce znów przywieźli ją na ten sam oddział. Była umierająca, ważyła może 30 kilo. Jej dowód osobisty wylądował w policyjnym sejfie. Zabraliśmy ją z tego szpitala, właściwie wniosłem ją na rękach w pierw do samochodu, potem na komendę. Odebraliśmy dowód. Pojechaliśmy za Starogard Gdański do świętego ośrodka terapii uzależnień w Wandzinie. To ośrodek z wielkimi osiągnięciami. Był wieczór. Po zbadaniu lekarz po raz pierwszy odmówił przyjęcia naszej podopiecznej. Stan zdrowia Marty był zbyt zły. Zatrzymaliśmy samochód za bramą ośrodka. Środek lasu, śnieg i ciemność. Marta między nami. Dzwonimy do s. Małgorzaty Chmielewskiej z prośbą o radę i pomoc. Powrót do gdańskiego szpitala odpadał, bo już ją z niego wypisali. Siostra w tej upiernej ciemności przez telefon decyduje, żebyśmy przyjechali z Martą do prowadzonego przez nią Domu dla Kobiet w Warszawie na Stawkach. Jedziemy. Docieramy koło trzeciej w nocy. Marta mieszka tam parę miesięcy, ma opiekę lekarza i dobrych ludzi wokół. Pewnego dnia ucieka. Nie wie tylko, że nie można uciec od samej siebie. Bardzo tę dziewczynę lubilem.



Praca czyni wolnym

Wielu bezdomnych nie miało nigdy w ręku umowy o pracę. Jednemu panu znaleźliśmy legalną, prostą pracę na stacji benzynowej Orlen na Przymorzu. Miał nalewać klientom paliwo, przecierać szyby. Napisałiśmy wraz z nim CV. Przestraszył się tak rozmowy o pracę, że na nią nie poszedł, wyjechał do Malborka na długo, bo było mu wstyd spojrzeć nam w oczy. A przecież to ludzka sprawa, że coś się nie powiedzie.

Panu Jackowi natomiast, dzięki naszym znajomym, znaleźliśmy pracę z noclegiem w dużej firmie produkującej okna. Wytrzymał może miesiąc. Chyba na odchodnym kolegom coś zabrał lub czegoś nie oddał. Niefajnie się to skończyło, a my przestaliśmy próbować szukać naszym podopiecznym roboty. Szkopuł w tym, że uczciwości, odpowiedzialności, systematyczności, punktualności i pracowitości w normalnym świecie uczymy się od dziecka. Bezdomni często nie mieli gdzie nauczyć się tych reguł.

„Bystry”

Chcę wspomnieć ciepło nieżyjącego już dyrektora i ordynatora Oddziału Alkoholowych Zespołów Abstynencyjnych w Szpitalu Psychiatrycznym na Srebrzysku dr Zbigniewa Bystrzanowskiego. Chorzy się go bali, ale budził wśród nich respekt. Ja z początku też się go trochę bałem, jednak gdy usłyszał, że moją szefową jest s. Małgorzata z miejsca się rozpromienił i od tamtej chwili zawsze ciepło nas przyjmował i pomagał w zmaganiach z biurokracją. Przed wejściem na oddział 19C wisiał portret psa labradora. Wiele razy, gdy czekałem na chorych, zastanawiałem się, po co ten pies na ścianie. Może po to, aby nie myśleć o chorobie?

Lekarze, których spotykałem, zwykle robili więcej, niż należało do ich obowiązków. Po latach mogę jedynie podziękować im za ich trudną pracę.

Epilog

Może ktoś uznać, że wymyślam, że system działa doskonale, a ja się czepiam. Opowiem więc na koniec jeszcze jedną historię. Gdy zaczynałem pracę z chorymi i bezdomnymi, zespół *Zupy na Monciaku* zaprosił na rozmowę pana z MOPS-u. Mieliśmy spotkać się w parku we Wrzeszczu. Pamiętam, że położył się na trawie w pozie, w której wyglądał jak cesarz Neron. Zaczął opowiadać o swoich wielkich sukcesach na polu pomagania bezdomnym. Trwało to z godzinę. Milczałem, a na koniec zadałem mu pytanie: *Skoro jest tak świetnie, to dlaczego tylu bezdomnych przychodzi każdego tygodnia do nas?*

Jeśli nauczyłem się chociaż trochę, jak być dobrym i mądrym człowiekiem, to nie za sprawą ciekawych studiów i przeczytanych książek. Mądrości nauczyli mnie bezdomni, chorzy biedacy. Bardzo wiele zawdzięczam też Oli, mojej partnerce z *Zupy na Monciaku* na dobre i na złe. Pomaganie bezdomnym zwykle nie udaje się w dłuższej perspektywie, podobnie jak pomaganie alkoholikom. Ale żaden człowiek nie zasługuje na to, aby machnąć na niego ręką. Żaden. Ludzie, którzy zabierają się za pomoc bezdomnym i czynią tak bardziej dla siebie, zwykle oczekują sukcesu. I dlatego, rozczarowani, rezygnują. Czym jednak jest w takiej pracy sukces? Gdy spotkacie następnym razem na swojej drodze bezdomnego, okażcie, proszę, szacunek i odrobinę serca. Zasługuje na to. *Ma być skromnie, ale godnie* – powiedziała mi kiedyś s. Chmielewska. W *Zupie na Monciaku* już na początku ustaliliśmy z kolei, że nasza zupa jest miłością. ■

fot. archiwum prywatne

ZAPROSZENIE NA DEBATĘ O równości i sprawności

6 marca, godz. 16:00

GUMed, Atheneum Gedanense Novum, Auditorium Primum im. Prof. Olgierda Narkiewicza

Wydarzenie jest pierwszym z cyklu czterech spotkań poświęconym równości i równemu traktowaniu organizowanych w ramach Kampanii *Różni i Równi*. Debata będzie transmitowana na żywo na kanale YouTube GUMed; organizatorzy zapewnią także tłumaczenie symultaniczne na język migowy.

Szczegółowe informacje (tematy, lista dyskutantów) są dostępne na stronie WWW Uczelni w zakładce [Kalendarium](#).

Partnerzy



URZĄD MARSZAŁKOWSKI
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



URZĄD MIASTA
GDAŃSKA



Uniwersytet
Gdański



Uczelnia
Fahrenheita